

Katarzyna Turaj-Kalińska  
BYLIŚMY, JESTEŚMY, NIE BĘDZIE NAS

Przemijanie to zjawisko powszechne, może najpowszechniejsze we wszechświecie. Podlegają jego prawom gwiazdy i galaktyki, lądy i morza, pustynie i masywy górskie. Nieustanny rozpad trwa od początku czasu i niektórzy skłonni są definiować czas jako przechodzenie wszystkiego, co istnieje, od formy do bezkształtu, od skupienia do rozproszenia, od porządku do chaosu czyli maksymalnej entropii.

Istnieją jednak wyjątki od tej reguły. W końcu gwiazdy nie tylko umierają, lecz także się rodzą. Materia nie tylko idzie w rozsypkę, ale i na powrót się skupia. Niekiedy zaś dąży nawet jak gdyby pod prąd czasu. Najbardziej zdumiewającym przykładem takiego dążenia jest życie. Żywe istoty od bakterii do słonia powstają na przekór wszechobecnemu prawu wzrostu entropii. Najpierw wyłaniają się z chaosu jako ścisły porządek atomów. Potem pobierają ze świata materię i energię, aby ten porządek utrzymać. To walka na śmierć i życie, w której życie musi przegrać. W dodatku trwa ono zbyt krótko, by to co żyje, zdołało się nim nasycić.

Niewiele wiemy o frustracjach i lękach spowodowanych własną skończonością, jakie miewa słoń, bakterii zaś nie podejrzewamy o nie wcale, zapewne nieco pochopnie. Wiemy za to z pewnością, że nasz własny gatunek lamentuje nad przemijaniem dość głośno, i że ów lament przybiera niekiedy wyszukane formy religijne, filozoficzne, artystyczne. Prędzej czy później mierzy się z nim każdy pisarz, który nie chce poprzestać w swojej twórczości na krótkiej, doraźnej perspektywie czasowej. U poetów zaś, którzy częściej niż prozaicy skłonni są fruwać z chwili na chwilę, zainteresowanie upływem czasu - a w szczególności sposób jego demonstrowania - jest jednym z wyznaczników artystycznej dojrzałości. Oto nowy, czwarty tom poetycki krakowskiej poetki, Marzeny Dąbrowy-Szatko. Owoc kolejnej w historii literatury potyczki artysty z czasem i świadectwo, że temat ten nie został bynajmniej w naszej kulturze wyczerpany. Przeciwnie, każda epoka zobowiązuje swoich twórców do poszukiwania dla niego nowego języka. W poprzednich tomach tej autorki znajdziemy utwory, będące świadectwem takich poszukiwań, ale dopiero w Powrocie na Ogrodową przybierają one kształt tak spójny i konsekwentny. Tytułowy wiersz przynosi czytelnikowi pokusę naiwnych pytań. Czy Ogrodowa istnieje naprawdę? Gdzie leży? Czy autorka rzeczywiście na nią powraca po świetliste déjŗ vu, jak sugerowałby to

początkowy wers: wchodzę w tę ulicę/ jak w slajd /pod światło pamięci?

Na szczęście odpowiedzi na podobne pytania nie ma i nie potrzeba. Wszyscy mieszkaliśmy kiedyś przy jakiejś Ogrodowej i wszyscy odczuwamy przemożną potrzebę, aby wrócić na nią po latach. Nieskończenie pragniemy tego bolesnego rozpołowienia - jednoczesnego przebywania w dwóch miejscach na raz. Bowiem Ogrodowa to adres podwójny - w przestrzeni i w czasie. Dla przybysza z głębin przeszłości może nawet przede wszystkim ten drugi, noszony w sobie i pielęgnowany tak długo, aż go nie zrukuje pewnego dnia wizyta na miejscu i czołowe zderzenie z teraźniejszością. Na szczęście i tutaj akcji towarzyszyć będzie reakcja. Przeszłość nie pozostanie dłużna teraźniejszości: niesie się gwar przeszłości/ od przyjezdnego śmiechu/ pękają drewniane balkony - czytamy w dalszej części utworu. Obok miejsc, w których teraźniejszość i aktualna obserwacja zderza się z przeszłością i pamięcią, poetka wysyła czytelnika także i tam, gdzie chwila obecna przepycha się z nadchodzącą już wielkimi krokami przyszłością, w której: na urwanym brzegu/ zostaną/ puste krzesła książki/ okulary pełne mroku/niedowierzenie/ że są/ gdzie są (Krajobraz powulkaniczny). Owo niedowierzenie, że są, gdzie są, odnosi się być może do lazuruwidokówkowej urody miejsca (Santorini), przede wszystkim jednak przewija się przez cały tom jako nieustanne zdziwienie, że się jest, gdzie się jest - w czasie. Bo w nim - jest się jeszcze i już się nie jest niemal równocześnie. W Powrocie na Ogrodową znajdujemy kilka utworów, w których autorka w sposób mistrzowski oddaje - i wywołuje u czytelnika - całe bogactwo uczuć towarzyszących odczuwaniu upływu czasu. Do moich ulubionych należy między innymi Epitafium dla odchodzącej z jego urokliwym początkiem: nasze dzieciństwa/ tupąły po tych samych schodach/ grały w klasy/ na tym samym podwórku i chwytającym za gardło zakończeniem: plac zniwelowano/(...) pod budowę nowych domów/ w ich prostokątnych/ oknach szklą się/ czasem nasze twarzyczki/ przezroczyście/ portrety nagrobne. Podobnie wstrząsające wrażenie robi wiersz o nad wyraz bezpośrednioj konfrontacji ekspansywnej energii dzieciństwa ze zniedołężnieniem, jakie niesie starość: Anna wnosi schody/ na wysokość/ drugiego piętra/(...) / spłoszony/ trzepot serca/ zdradziecki wąż poręczy/ wyślizguje się z dłoni/(...)/ z tupotem skrzydlatych tenisówek/ przelatuje obok/ anioł ze skakanką/ zdziwiona jaskółka brwi/ unosi go prosto do nieba/ mieszkania na

trzecim piętrze (Anna wchodzi po schodach). Kiedy jednak istnieje poważne domniemanie, że poetka pisze o sobie, jej ton staje się chłodniejszy, a ona sama bardziej zdystansowana: świat/ jak zwykle/ toczy się/ mimo że ktoś usunął/ pryzmat mojej twarzy/ z pola widzenia (Przeżycie metafizyczne przy otwartym oknie tramwaju). Czasami bywa wobec siebie wręcz okrutna: moje zdradzieckie ciało/ odchodzi ode mnie/ po kawałku/ w ażurowych miskach/ zastygły pagórki mięsa/(...)/ wciąż szykuje się do drogi/ w aromat/ gnijącej wiśni (Rozstanie). Widzimy więc, że istota ludzka, choć prawdopodobnie najsilniej ze wszystkich bytów przeżywa powszechnie obowiązujący wzrost entropii, może się bronić paradoksalnie przed odczuwaniem jego grozy, stanąwszy z nim twarzą w twarz. Może stosować autoironię, a nawet autosarkazm. Ma też złudzenie trwania, które jednak niewiele rekompensuje, zwłaszcza, gdy patrzeć na to trwanie ex post:: i to mam być/ ja która/ dotąd/ myślałam o sobie/ jestem/ tymczasem/ pora zacząć myśleć/ byłam/ odtąd dotąd (Rozpoznanie).

Takiego przywileju trwania odtąd dotąd nie mają pejzaże, w które wkomponowujemy swoje istnienie. Niezależnie od tego, gdzie je napotykamy - w Santorini, Palermo, Rzymie, Krakowie, czy jakimś anonimowym Ł., O. albo M. Na Ogrodowej czy Dalekiej lub zgoła, gdzie diabeł mówi dobranoc. Krajobrazy są za to w każdym momencie swej rozłożystej egzystencji -pięknymi katastrofami? Tyle że powolnymi, dzięki czemu można się w nich spokojnie rozsmakować, przygotowując duszę na katastrofę własną. I to właśnie robi w swoim najnowszym zbiorze Marzena Dąbrowa-Szatko. Rozsmakowuje nas w spektakularnie umierających pejzażach, gdzie powracająca natura próbuje się uporać z resztkami cywilizacji - zdziczały krzak bzu/ wstępuje po schodach/ na obity taras (Krótki wiersz o zaniechaniu). Albo na odwrót, cywilizacja brutalnie wdziera się w naturę i konające wsie/(...) przemykają chyłkiem/ przed rozpędzonymi oczami/ samochodów (Umieranie wsi).

Używa do tego wszelkich sił i środków. Czasami są to oryginalne i trafne metafory: muchy czarne dziurki w ciszy/ pocięły obrazek nożycami lotu/ ledwo się trzyma/ na zszywaczach załzawionych oczu (Gwasz podmiejski). Kiedy indziej ciekawe brzmienia: skrajem ogrodu skradają się/ iskry jaskrów (Krótki wiersz o zaniechaniu). Lub dla odmiany wizje malarskie sygnowane wprost wpływami Dudy-Gracza, Magritte'a, Lotta. Czy też filmowe klimaty prowincjonalnej beznadziejności, które skojarzyć możemy z

poetyką Kusturicy albo Kolskiego (Noc poślubna, Malowanie niedzieli).

Bywa i tak, że autorka sięga do wysłużonej rekwizytorni przemijania - wzywa na pomoc kalendarze i zegary, nazywa po imieniu krecią robotę czasu w tytułach wierszy: Koniec lata, Koniec wędrówki, Zmiana dekoracji, Pożegnanie pejzażu, Zachód słońca w sierpniu, Ożywianie zegara. Jednakże nawet wtedy zawsze potrafi zgrabnie minąć się z banałem, a powszechnie znanych atrybutów użyć jedynie jako spoiwa łączącego jej własną, współczesną wizję z tradycją literacką. Często w sukurs przychodzi wspomniany wyżej dystans i zmysł autoparodii, skutecznie chroniący przed frazesem i patosem. Najlepiej widać to w zamieszczonych jeden po drugim wierszach z cyklu Notatki z wieczoru autorskiego.... Pierwszy mówi pięknie o znikomych znakach obecności - może zwykłych sąsiadów, a może samego Boga: znaki obecności są znikome/ ryba dla kotów koło śmietnika/ brama otwarta pościel na balkonie/ (...) / tak żyjemy od lat/ podpatrując się nawzajem/ ja w wiecznej niepewności/ czy jesteś/ ty w oczekiwaniu/ powrotów (Sąsiedztwo). Drugi naśmiewa się z pierwszego, rujnując całą jego kunsztownie zbudowaną z codziennych szczegółów metafizykę i obnażając chwyt poetyckiej sztuki: zaczęłam pisać/ linijka po linijce/ sąsiadka zmieniała się w sąsiada/ a sąsiad w Pana/ Boga/ i tak pisze się/ wiersz/ o transcendencji (Ars poetica). W rezultacie powyższych -i wielu innych tu nie wymienionych, ale zawsze bardzo świadomych zabiegów artystycznych, powstała bez wątpienia najlepsza, najdojrzalsza książka Marzeny Dąbrowy-Szatko. I jedna z najciekawszych propozycji w najnowszej poezji polskiej, niezależnie od tego, co krzycheć będą media podążające śladem płytkich recenzenckich mód. Pozostaje mieć nadzieję, że czas wykreowany na bohatera tej książki, odwdzięczy się jej najlepszym ze swych możliwych działań. Oddzieli ziarno od plew w literaturze naszej chaotycznej epoki i przyzna Powrotowi na Ogrodową należne mu miejsce, trwalsze niż sezonowa moda, koniunktura czy koteria.